

Prix du polar européen 2010
europejski kryminal roku

SENSACJA



Pierre Lemaitre

Zakładnik

*To cudowne uczucie być świadkiem
narodzin wielkiego pisarza.*

„Le Figaro Magazine”

*Mamy tu wybitnego autora
powieści kryminalnych.*

„Le Monde Magazine”

*Z żelazną precyzją obmyślony
scenariusz i zręczna konstrukcja.*

„Elle”

POWIEŚĆ SENSACYJNA

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Pierre Lemaitre

Zakładnik

*** fragment ***

Tytuł oryginału: Cadres noirs
Projekt okładki: Katarzyna Konior
Redakcja: Lech Staszkiel
Redakcja techniczna: Zbigniew Katafiasz
Konwersja do formatu EPUB: Robert Fritzowski
Korekty: Małgorzata Mietkowska, Julia Leśniak

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© olly – Fotolia.com

© asrawolf – Fotolia.com

© Calmann-Lévy, 2010

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2012

© for the Polish translation by Joanna Polachowska

ISBN 978-83-7758-253-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2012

Dla Pascaline.
Dla Marie-Françoise, z wielką przyjaźnią.

Należę do tego nieszczęsnego pokolenia, które, zawieszona w kruchej równowadze między starymi i nowymi czasami, i tu, i tam czuje się źle.

Co więcej, jak pan zapewne zauważył, jestem człowiekiem pozbawionym złudzeń.

G. Tomasi di Lampedusa,
Lampart

PRZED

Nigdy nie byłem człowiekiem gwałtownym. Jak daleko sięgnę myślą wstecz, nigdy nie chciałem nikogo zabić. Od czasu do czasu jakiś wybuch złości, ale nigdy żadnej chęci skrzywdzenia kogokolwiek naprawdę. Zniszczenia. Ale teraz sam siebie zaskakuję. Przemoc jest jak alkohol lub seks; to nie zjawisko, lecz proces. Wchodzi się weń prawie niepostrzeżenie, po prostu dlatego, że się do niego dojrzało, dlatego, że to właśnie ta chwila. Wiedziałem, że jestem rozgniewany, lecz nigdy bym nie pomyślał, że mój gniew zamieni się w zimną furję. To mnie tak przeraża.

I to, że trafiło akurat na Mehmeta...

Mehmet Pehlivan.

Turek.

Jest we Francji od dziesięciu lat, ale słownictwo ma uboższe niż dziesięcioletnie dziecko. Wyraża się tylko na dwa sposoby: albo wrzeszczy, albo jest nabzdyczony. A kiedy się wydziera, miesza francuski z tureckim. Nikt nie wie, o co mu chodzi, ale wszyscy dobrze rozumieją, za kogo nas uważa. W hurtowni farmaceutycznej Połaniec, gdzie pracuję, Mehmet jest „kontrolerem”, a ilekroć awansuje, zgodnie z szeroko pojętą regułą darwinowską, natychmiast zaczyna gardzić dawnymi kolegami i traktować ich jak padalców. W swojej pracy zawodowej często się z tym stykałem i nie tylko u pracowników imigrantów; generalnie u wielu ludzi wywodzących się z nizin społecznych. Awansowani identyfikują się ze swoimi dyrektorami z tak wielkim przekonaniem, że dyrektorom nawet by się nie śniło. Taki syndrom sztokholmski na rynku pracy. Uwaga: Mehmet nie uważa się za dyrektora, to coś więcej: on dyrektora ucieleśnia. „Jest” dyrektorem, kiedy dyrektora nie ma. Oczywiście tutaj, w firmie, która zatrudnia pewnie ze dwieście osób, patrona jako takiego nie ma; są tylko szefowie. Tymczasem Mehmet czuje się zbyt ważny, by identyfikować się ze zwykłym szefem. On identyfikuje się z rodzajem abstrakcji, wyższą ideą, którą nazywa „Dyrekcją”, co jest pozbawione treści (dyrektorów nikt tutaj nie zna), acz pełne znaczenia: powiedzieć „Dyrekcja”, to tak jak powiedzieć „Droga”, „Powołanie”. Awansując w hierarchii służbowej, Mehmet na swój sposób zbliża się do Boga.

Zaczynam o piątej rano; pracę, jaką wykonuję, określa się mianem fuchy (mówiąc „fucha”, zawsze dodaje się „drobna”, a to z racji płacy). Sortuję kartony z lekarstwami, które następnie są rozwożone do aptek na przedmieściach. Sam tego nie widziałem, ale podobno Mehmet sortował kartony przez osiem lat, zanim został „kontrolerem”. Dziś dumnie rządzi trójką padalców, a to już jest coś.

Pierwszy padalec to Charles. Śmieszne imię jak na bezdomnego. Jest o rok ode mnie młodszy, chudy jak patyk i pije jak smok. Mówią, że podaje się za bezdomnego, żeby uciąć pytania, ale w rzeczywistości posiada lokum. I to jak najbardziej stałe. Mieszka w samochodzie, który od pięciu lat już nie jeździ. Nazywa go swoim immobile home; takie już ma poczucie humoru. Nosi wielki jak spodek zegarek nurka z mnóstwem tarcz. I bransoletkę w kolorze wściekłej zieleni. Nie wiem, skąd pochodzi ani co spowodowało, że znalazł się w tak skrajnej sytuacji. Czasem bywa zabawny. Na przykład nie ma pojęcia, od jak dawna figuruje na liście oczekujących na mieszkanie socjalne, ale bardzo dokładnie pamięta, ile czasu upłynęło, od kiedy zrezygnował z dalszych starań o nie. Pięć lat, siedem miesięcy i siedemnaście dni, jak wynika z ostatnich rachunków. Tym, co liczy Charles, jest czas, jaki upłynął, odkąd pożegnał się z wszelką nadzieją na jakikolwiek dach nad głową. „Nadzieja – mawia, unosząc palec – to wredny wymysł Lucyfera, żeby ludzie cierpliwie znosili swoją kondycję”. Nie on jest autorem owych słów, już je gdzieś słyszałem. Szukałem tego cytatu, ale nie znalazłem. Co dowodzi jednak, że mimo pijackiej otoczki Charles jest człowiekiem wykształconym.

Drugi padalec to Romain, chłopak z Narbonne. W liceum odniósł pewien sukces w szkolnym kółku teatralnym, więc zamarzyło mu się zostać aktorem i prosto po maturze przyjechał do Paryża, gdzie nigdy

jednak nie dostał najmniejszej nawet roli, ponieważ wymawia „r” jak d’Artagnan. Jak Henryk IV. Brał lekcje dykcji, ale nic to nie dało. Wykonywał rozmaite dorywcze prace umożliwiające mu udział we wszelkich możliwych castingach – zawsze bez powodzenia. Któregoś dnia zrozumiał, że nigdy nie zrealizuje swojego marzenia. I taki był koniec Romaina – aktora filmowego. No i największym miastem, jakie znał, było Narbonne. Paryż w krótkim czasie go przyłoczył, zniszczył. Zaczęły mu znów doskwierać dziecięce chandry i tęsknota za rodzinnymi stronami. Tyle że nie chce wracać do domu z pustymi rękami. Ciąży więc grosz do grosza i marzy już tylko o jednej roli: syna marnotrawnego. W tym celu podejmuje się wszelkich możliwych fuch, jakie mu się trafią. Pracuje jak mrówka. Resztę czasu spędza na Second Life, MSN, MySpace, Twitterze, Facebooku oraz mnóstwie innych portali; w miejscach, gdzie nikt nie słyszy jego wymowy. Zdaniem Charles’a jest uzdolniony informatycznie.

Ja pracuję codziennie rano po trzy godziny, co daje mi 585 euro brutto (mówiąc o niskim wynagrodzeniu, zawsze dodaje się „brutto”, a to z powodu obciążeń). Około dziewiątej jestem z powrotem w domu. Jeśli Nicole wychodzi trochę później, mamy okazję się spotkać. W takich wypadkach mówi: „Jestem spóźniona”, całuje mnie w czubek nosa i wychodzi.

Tak więc tego ranka Mehmet był wściekły. Jakby się wewnątrz gotował. Pomyślałem, że pewnie żona dała mu popalić. Po rampie zastawionej rzędami skrzyń i kartonów poruszał się szybkim, podrygującym krokiem. A listę ścisnął w rękach tak mocno, że aż zbieleły mu stawy. Czuło się, że na tym człowieku ciąży ogromna odpowiedzialność, że problemy osobiste trafiły mu się naprawdę nie w porę. Zjawiłem się punktualnie, ale na mój widok natychmiast się rozwrzeszczał. Punktualne przyjście nie jest wystarczającym dowodem motywacji. On przychodzi co najmniej godzinę wcześniej. Nie wszystko rozumiałem, ale najważniejsze do mnie dotarło, to mianowicie, że uważa mnie za dupka.

Choć Mehmet robi tyle zamieszania, zajęcie samo w sobie jest niezbyt skomplikowane. Sortuje się paczki, wkłada je do kartonów na paletach. Zwykle kody aptek są wypisane dużymi literami na paczkach, ale niekiedy, nie wiedzieć czemu, numeru nie ma. Romain twierdzi, że to sprawka źle ustawionej drukarki. W takich przypadkach kod można znaleźć w długim ciągu drobnych literkach umieszczonych na etykiecie. Są to jedenasta, dwunasta i trzynasta litera. Żeby je odczytać, potrzebuję okularów, a to już cały ambaras. Muszę je wyjąć z kieszeni, założyć, pochylić się, policzyć litery... A czas płynie. Gdyby Dyrekcja zobaczyła, jak się grzebię, byłaby niezadowolona. Tymczasem właśnie tego ranka pierwsza paczka, po jaką sięgnąłem, nie miała kodu. Mehmet podniósł wrzask. Pochyliłem się. I w tym momencie dał mi kopniaka w tyłek.

Było kilka minut po piątej rano.

Nazywam się Alain Delambre, mam pięćdziesiąt siedem lat.

Jestem bezrobotnym menedżerem.

Z początku wziąłem tę poranną pracę w firmie wysyłkowej, żeby się czymś zająć. Tak przynajmniej powiedziałem Nicole, ale ani ona, ani nasze córki nie dały się nabrać. Nikt w moim wieku nie wstaje o czwartej rano do roboty za czterdzieści pięć procent minimalnej pensji tylko po to, żeby rozprostować stawy. Historia jest skomplikowana. A właściwie nie, nie aż tak bardzo. Początkowo nie potrzebowaliśmy tych pieniędzy, teraz już tak.

Od czterech lat jestem na bezrobociu. Cztery lata miną w maju (dwudziestego czwartego maja, dobrze pamiętam tę datę).

Ponieważ to zajęcie nie wystarcza, żeby dociągnąć do końca miesiąca, wykonuję także inne dorywcze prace. Tu i tam przez kilka godzin noszę skrzynki, pakuję różne rzeczy w folię bąbelkową, rozdaję ulotki, czasem nocami sprzątam w biurach. Do tego dochodzą fuchy sezonowe. Od dwóch lat robię za Mikołaja w Trouve-tout, supermarkecie ze sprzętem gospodarstwa domowego z drugiej ręki. Nie zawsze przyznaję się Nicole do tego, co robię, bo byłoby jej przykro. Tłumaczę swoją nieobecność rozmaicie. A że w przypadku pracy nocnej sprawa jest łatwiejsza, wymyśliłem grupę bezrobotnych kumpli, z którymi grywam w tarota. Nicole mówię, że mnie to odpręża.

Wcześniej byłem dyrektorem kadr w firmie zatrudniającej dwieście osób. Zajmowałem się personelem, szkoleniami, kontrolowałem płace, reprezentowałem dyrekcję w Komitecie Przedsiębiorstwa. Pracowałem u Bercauda, w firmie produkującej sztuczną biżuterię. Siedemnaście lat nawlekania koralików. Był to ulubiony dowcip wielu kolegów, mówili: „U Bercauda nawlekamy korale”. Istniała cała masa zabawnych powiedzonek na temat koralików, klejnotów rodzinnych itp. Czy jak kto woli – żartów korporacyjnych. Żarty skończyły się w maju, kiedy nam oznajmiono, że Bercauda kupili Belgowie. Mogłem stanąć do współzawodnictwa z szefem kadr grupy belgijskiej, ale kiedy dowiedziałem się, że ma trzydzieści osiem lat, w duchu zacząłem się pakować. Mówię „w duchu”, bo teraz widzę, że zupełnie nie byłem gotowy zrobić tego w rzeczywistości. A jednak zostałem zmuszony, i to już niebawem. Wiadomość o sprzedaży ogłoszono czwartego marca. Sześć tygodni później ruszył pierwszy wózek ze skazańcami; ja trafiłem do drugiego.

W ciągu tych czterech lat, w miarę jak dochody topniały, mój stan ducha się zmieniał: niedowierzanie przeobraziło się w zwątpienie, potem w poczucie winy i wreszcie w poczucie niesprawiedliwości. Dziś wzbiera we mnie gniew. Gniew to niezbyt pozytywne uczucie. Kiedy przychodzę do Poślańca, kiedy widzę krzaczaste brwi Mehmeta, długą chwiejną postać Charles’a i kiedy pomyślę o tym wszystkim, przez co musiałem przejść, zanim w końcu tutaj wylądowałem, zaczyna we mnie narastać głuchy gniew. Nie wolno mi myśleć o latach, które mnie czekają, o punktach, których mi zabraknie do emerytury, o zasiłkach, które maleją, o przysiężeniu, które nas czasami dopada, Nicole i mnie. Nie wolno mi o tym myśleć, bo mimo mojej rwy kulszowej ogarniają mnie mordercze myśli.

Od tych czterech lat, od kiedy się znamy, uważam mojego doradcę z biura pośrednictwa pracy za dobrego znajomego. Niedawno, z niejakim podziwem, oświadczył mi, że jestem wzorem. Chodzi mu o to, że zarzuciłem nadzieję na znalezienie pracy, ale nie zarzuciłem jej szukania. Dostrzega w tym dowód siły charakteru. Nie chcę wyprowadzać go z błędu; ma trzydzieści siedem lat i powinien jak najdłużej zachować złudzenia. W rzeczywistości kieruje mną raczej odruch gatunkowy. Szukanie pracy to tak jak sama praca, a ponieważ przez całe życie pracowałem, utrwaliło się to w moim układzie neurovegetatywnym. Popycha mnie do działania konieczność, ale żadnego planu tu nie ma. Szukam pracy niczym psy, które obwąchują latarnie. Bez złudzeń, lecz to silniejsze ode mnie.

Na podobnej zasadzie odpowiedziałem kilka dni temu na pewne ogłoszenie. Agencja konsultingowa szuka kandydata na zastępcę dyrektora personalnego w dużym przedsiębiorstwie. Obowiązki: udział w

rekrutacji kadry kierowniczej, sporządzanie profilów psychologicznych na poszczególne stanowiska, ocena pracowników i analiza wyniku testów, uczestnictwo w sporządzaniu bilansu socjalnego itp. – dokładnie to, co umiem robić i co robiłem przez długie lata u Bercauda. „Wszechstronny, metodyczny, dokładny, posiadający duże umiejętności interpersonalne”. Wypisz, wymaluj mój portret zawodowy.

Kiedy to przeczytałem, wysłałem odpowiednie papiery i życiorys. Tyle że oczywiście nie sprecyzowali, czy gotowi są zatrudnić faceta w moim wieku.

Co oznacza jedno: że nie.

Trudno. Mimo wszystko zgłosiłem swoją kandydaturę. Zastanawiam się, czy nie po to, by zasłużyć na dalszy podziw mojego doradcy z biura pośrednictwa pracy.

Kiedy Mehmet przykopał mi w siedzenie, krzyknąłem, więc wszyscy się odwrócili. Romain pierwszy, Charles z niejaką trudnością, ponieważ o tej wczesnej porze dnia zdążył już wlać w siebie kilka kieliszków białego wina. Gwałtownie się poderwałem. Jak jakiś młodziak. I dopiero wtedy dotarło do mnie, że przerastam Mehmeta prawie o głowę. Dotąd, ponieważ był szefem, nie zwracałem uwagi na jego wzrost. Sam Mehmet nie mógł uwierzyć, że dał mi kopniaka. Wydawało się, że nagle całkowicie ochłonął z gniewu, usta mu drżały, mrugał oczami i próbował coś powiedzieć, sam nie wiem w jakim języku. I wtedy zrobiłem to, po raz pierwszy w życiu: bardzo powoli odchyliłem głowę w tył, jakbym podziwiał sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej, po czym jednym krótkim ruchem wyrzuciłem ją naprzód. Tak jak widziałem w telewizji. Nazywa się to „uderzeniem z główki”. Charles, jako bezdomny, już nieraz oberwał, więc się na takich sprawach zna. „Piękna technika”, ocenił. Podobno jak na debiutanta znakomicie mi poszło. Rozkwaśiłem czołem nos Mehmeta; nim poczułem siłę ciosu w czołec, usłyszałem suchy trzask. Mehmet wrzasnął (jestem pewny, że tym razem po turecku), ale nie zdążyłem nacieszyć się swoim wyczynem, bo natychmiast złapał się rękami za głowę i padł na kolana. W filmie wziąłbym teraz lekki rozmach i przykopał mu z całej siły w gębę, ale strasznie mnie bolała czaszka, więc ja też złapałem się za głowę i padłem na kolana. I trwaliśmy tak obaj na klęczkach, twarzą w twarz, obejmując rękami głowy, pochyleni do przodu. Dramat w świecie pracy. Wspaniały obraz.

Podbiegł Romain, nie bardzo wiedząc, co robić. Mehmet broczył krwią. Po kilku minutach przyjechała karetka. Złożyliśmy oświadczenia. Romain powiedział, że widział, jak Mehmet mi przykopał, że będzie moim świadkiem i nie mam się czym przejmować. Nie odezwałem się, ale doświadczenie podpowiada mi, że może się to okazać wcale nie takie proste. Było mi niedobrze. Poszedłem do toalety. Ale niepotrzebnie.

To znaczy nie całkiem niepotrzebnie, bo w lustrze zobaczyłem, że mam na czole ranę i wielkiego krwiaka. Byłem trupio blady, ogłupiały. Żałosny. Przez chwilę miałem wrażenie, że zaczynam upodabniać się do Charles’a.

– Uau... Co ci się stało? – zapytała Nicole, dotykając palcem ogromnego krwiaka na moim czole.

Nie odpowiedziałem. Rozmyślnie nonszalanckim gestem podałem jej list, a sam poszedłem do gabinetu i udawałem, że szukam czegoś w szufladach biurka. Nicole przez długą chwilę wpatrywała się w pismo: „W odpowiedzi na Pański list mam przyjemność zawiadomić, że Pańska kandydatura na stanowisko zastępcy dyrektora personalnego została przez nas zaakceptowana. Wkrótce otrzyma Pan wezwanie na merytoryczny test, po którym, jeśli wypadnie pozytywnie, zostanie Pan zaproszony na rozmowę”.

Z czasu, jaki jej to zajęło, wnioskuję, że przeczytała list kilka razy. Potem, wciąż nie zdejmując płaszcza, stanęła w progu gabinetu i oparła się ramieniem o futrynę. Nadal z listem w ręku. Przechyliła głowę w prawą stronę. To jeden z jej zwykłych gestów i ten, który obok dwóch czy trzech innych lubię najbardziej. Zupełnie jakby o tym wiedziała. Kiedy widzę ją w takiej pozycji, utwierdzam się w przekonaniu, że ta kobieta została obdarzona łaską. Jest w niej coś zboląłego, jakaś giętkość, sam nie wiem, jak to ująć, niesłychanie erotyczna powolność. Trzymała w ręku list i wpatrywała się we mnie. Wydała mi się bardzo piękna, czy może seksowna, jednym słowem, miałem wielką ochotę ją przelecieć. Seks był dla mnie zawsze silnym antydepresantem.

Początkowo, kiedy nie uważałem jeszcze bezrobocia za fatum, tylko za nieszczęście, byłem bardzo niespokojny i na okrągło się do Nicole dobierałem. W sypialni, w łazience, w korytarzu. Nigdy nie odmawiała. Jest dobrym psychologiem, rozumiała, że był to mój sposób upewnienia się, że wciąż żyję. Potem niepokój ustąpił miejsca lękowi i pierwszym namacalnym efektem tej zmiany była u mnie niemal całkowita impotencja. Nasze kontakty seksualne stały się rzadkie, trudne. Nicole okazuje delikatność i cierpliwość, co mnie tylko jeszcze bardziej unieszczęśliwia. Nasz seksualny barometr kompletnie się rozregulował. Udajemy, że tego nie zauważamy, że nie ma to żadnego znaczenia. Wiem, że Nicole wciąż mnie kocha, ale nasze życie stało się o wiele trudniejsze i nie mogę opędzić się od myśli, że taka sytuacja nie będzie mogła trwać w nieskończoność.

Teraz, z listem z BLC-Consulting w ręku, mówi:

– Ależ kochanie, przecież to nadzwyczajne!

Pomyślałem, że koniecznie muszę poszukać owego powiedzenia Charles’a o Lucyferze i nadziei. Ponieważ Nicole miała rację. List taki jak ten odbiegał od zwyczajności i chociaż ktoś w moim wieku, niepracujący w branży już od czterech lat, miał szansę jedną na miliard dostania tej pracy, Nicole i ja natychmiast zaczęliśmy w to wierzyć. Tak jakby minione miesiące, minione lata niczego nas nie nauczyły. Jakbyśmy oboje byli niepoprawnymi optymistami.

Nicole podeszła i pocałowała mnie w ów zmysłowy sposób, który uwielbiam. Jest bardzo dzielna. Życie z człowiekiem zdolowanym – to właśnie jest najtrudniejsze. Zwłaszcza kiedy samemu też jest się zdolowanym.

– Nie wiadomo, dla kogo robią rekrutację? – zapytała Nicole.

Dotknąłem ekranu: pokazała się strona internetowa BLC-Consulting. Skrót pochodzi od nazwiska założyciela, Bertranda Lacoste’a. Historyczne nazwisko. To jeden z najdroższych konsultantów, którzy liczą sobie po trzy i pół tysiąca euro za dzień. Kiedy, mając przed sobą całą przyszłość, zaczynałem pracę u Bercauda (a nawet kilka lat później, kiedy zapisałem się na CNAM, żeby zdobyć uniwersytecki dyplom z coachingu), konsultant z najwyższej półki w rodzaju Bertranda Lacoste’a był dla mnie kimś, kim sam pragnąłem być: skuteczny, zawsze o krok przed swoim rozmówcą, oferujący błyskawiczne analizy i szeroki wachlarz rozwiązań menedżerskich na każdą sytuację. Nie skończyłem CNAM, bo wtedy właśnie urodziły się nam córki. Taka jest wersja oficjalna. Wersja Nicole. Prawda była taka, że brakowało mi

odpowiedniego talentu. W gruncie rzeczy mam mentalność pracownika najemnego.

Jestem prototypem menedżera pośredniego.

Odpowiedziałem Nicole:

– Ogłoszenie jest dość zdawkowe. O przedsiębiorstwie mówią: „lider przemysłu na skalę międzynarodową”. No, no... Posada jest do objęcia w Paryżu.

Popołudnie spędziłem na lekturze stron internetowych na temat regulacji rynku pracy oraz nowych przepisów w dziedzinie kształcenia permanentnego. Nicole widziała to i uśmiechała się. Mój gabinet był zasłany różnymi kartkami samoprzylepnymi, notatkami, luźnymi stronami, które poprzyklejałem skoczem do krawędzi półek regałów z książkami. Wydawało się, że dopiero teraz dostrzegła, że przez cały dzień bez wytchnienia pracowałem. A przecież należy do tych kobiet, które momentalnie wyłapują każdy szczegół życia codziennego. Jeśli cokolwiek w pokoju przestawię, od razu po wejściu to zauważy. Kiedy ją zdradziłem, jeden jedyny raz przed wielu laty (dziewczynki były wtedy małe), odkryła to jeszcze tego samego wieczora. A przecież zachowałem wszelkie środki ostrożności. Nic nie powiedziała. Wieczór upłynął nam w ciężkiej atmosferze. Dopiero kiedy poszliśmy spać, powiedziała ze zmęczoną miną:

– Alain, nie rozmawiajmy już o tym...

Po czym zwinęła się obok mnie w łóżku. I nigdy więcej do tego tematu nie wracaliśmy.

– Nie mam nawet jednej szansy na tysiąc.

Nicole kładzie list z BLC-Consulting na moim biurku.

– Tego akurat nie wiesz – mówi, zdejmując płaszcz.

– Człowiek w moim wieku...

Odwraca się w moją stronę.

– Ilu twoim zdaniem zgłosiło się kandydatów?

– Moim zdaniem – około trzystu.

– A ilu, jak uważasz, zaproszono na test?

– Powiedziałbym, jakichś piętnastu...

– No to wytłumacz mi, dlaczego wybrali akurat TWOJĄ kandydaturę spośród ponad trzystu? Myślisz, że nie widzieli, ile masz lat? Myślisz, że uszło to ich uwadze?

Pewnie, że nie. Nicole ma rację. Prawie przez całe popołudnie roztrząsałem rozmaite hipotezy. I zawsze wychodzi na jedno: moje CV z daleka cuchnie pięćdziesięciolatkiem, więc skoro mnie wzywają, to znaczy, że jest w nim coś dla nich interesującego.

Nicole jest bardzo cierpliwa. Obierając kartofle i cebulę, słucha, jak wyliczam rozmaite powody natury praktycznej, dla jakich mnie wybrali. Słyszy w moim głosie euforię, której nie jestem w stanie opanować. Od ponad dwóch lat nie dostałem podobnego listu. W najgorszym razie mi nie odpowiadają, w najlepszym piszą, że bym się wypchał. Nie wzywają mnie już na rozmowy, bo facet taki jak ja nikogo nie interesuje. Stąd odpowiedź z BLC-Consulting rodzi we mnie najróżniejsze przypuszczenia. Wydaje mi się, że wreszcie znalazłem właściwe.

– Myślę, że to z powodu premii.

– Jakiej premii? – pyta Nicole.

Z tytułu planu ratunkowego dla seniorów. Podobno (gdyby rząd do mnie się z tym zwrócił, oszczędziłby na badaniach, z pewnością bardzo kosztownych) seniorzy nie pracują już wystarczająco długo. Tymczasem kraj nadal ich potrzebuje. Mowa oczywiście o tych, którzy wciąż pracują. To straszne, ale jest jeszcze coś gorszego. Są seniorzy, którzy chcieliby pracować, ale nie mogą znaleźć roboty. I ci, którzy pracują niewystarczająco długo, i ci, którzy już po prostu nie pracują, seniorzy stanowią wielki problem dla społeczeństwa. Więc rząd im wszystkim pomoże. Przedsiębiorstwa, które zgodzą się zatrudnić starszych, dostaną pieniądze.

– Nie interesuje ich moje doświadczenie, tylko to, że otrzymają ulgi podatkowe i zainkasują premie.

Nicole wysuwa podbródek lekko do przodu z miną wyrażającą powątpiewanie. I to też u niej bardzo lubię.

– A mnie się wydaje – mówi – że czego jak czego, ale pieniędzy w tych firmach na pewno nie brakuje i premie rządowe obchodzą ich tyle co zeszłoroczny śnieg.

Resztę popołudnia poświęciłem na wyjaśnienie kwestii tych premii. Tu Nicole znowu ma rację, argument z trudem się broni: zwolnienie z obciążeń trwa tylko kilka miesięcy, premia pokrywa jedynie niewielką część wynagrodzenia menedżera tego szczebla. I w dodatku jest regresywna.

W kilka minut Nicole doszła do podobnego wniosku co ja w ciągu całego dnia: skoro BLC chce mnie widzieć, to znaczy, że jest zainteresowane moim doświadczeniem.

Od czterech lat robię, co mogę, starając się wytłumaczyć pracodawcom, że człowiek w moim wieku jest równie aktywny jak ci młodzi, a jego doświadczenie oznacza oszczędności dla firmy. Ale to argument dziennikarski, dobry dla dodatku „Praca” w wielonakładowej prasie; sami pracodawcy mają to w nosie. Mam wrażenie, że po raz pierwszy ktoś naprawdę przeczytał mój list i rozważył moją kandydaturę. Jeszcze ich zadziwię.

Chciałbym, żeby rozmowa odbyła się już, natychmiast, najchętniej zacząłbym krzyczeć.

Pilnuję się, żeby tego nie zrobić.

– Dziewczynkom nic nie mówimy, zgoda?

Nicole też uważa, że tak będzie lepiej. Córkom sprawia przykrość widok ojca uganiającego się za zarobkiem. Nic nie mówią, ale wiem, że to silniejsze od nich: mocno straciłem w ich oczach. Nie z powodu bezrobocia, nie; z powodu tego, jak bezrobocie na mnie wpłynęło. Postarzałem się, zapadłem w sobie, miewam chandry. A jeszcze nic nie wiedzą o mojej pracy w firmie wysyłkowej. Wzbudzić w nich nadzieję, że znajdę pracę, tylko po to, by następnie oznajmić, że nic z tego nie wyszło, byłoby wyczynem ponad moje siły.

Nicole przytula się do mnie. Delikatnie dotyka palcem guza na moim czole.

– Powiesz mi, co się stało?

Staram się, jak mogę, żeby dodać pikanterii mojej opowieści. Mam wręcz pewność, że jestem bardzo zabawny. Ale fakt, że pozwoliłem Mehmetowi skopać sobie tyłek, ani trochę Nicole nie bawi.

– Co za kretyn z tego Turka!

– To niezbyt europejska reakcja.

Ostatni żart też nie wywołał spodziewanego efektu.

Nicole z zamyśloną miną gładzi mnie po policzku. Wyraźnie widzę, że się o mnie martwi. Staram się podejść do sprawy filozoficznie. Ale mnie też jest ciężko na sercu i już sam dotyk jej dłoni sprawia, iż czuję, że wkroczyliśmy na delikatny grunt emocjonalny.

Nicole patrzy na moje czoło i mówi:

– Jesteś pewny, że sprawa się na tym skończy?

Klamka zapadła: następnym razem ożenię się z idiotką.

Ale Nicole zbliża usta do moich ust i mówi:

– Nieważne. Jestem pewna, że to praca dla ciebie. Jestem tego pewna.

Zamykam oczy, modląc się w duchu, żeby mój kumpel Charles, który powtarza to o nadziei i Lucyferze, okazał się po prostu skończonym głupkiem.

List z BLC-Consulting był prawdziwą bombą. Przestałem sypiać. Wpadam to w euforię, to w pesymizm. Obojętnie, co robię, moje myśli nieustannie wokół niego krążą, tworząc rozmaite scenariusze. To wyczerpujące.

W piątek Nicole spędziła parę godzin na stronie internetowej swojego ośrodka dokumentacji i wydrukowała dla mnie dziesiątki stron informacji prawnej. Po tych czterech latach zostałem mocno w tyle. W mojej branży regulacje prawne bardzo ewoluowały, zwłaszcza dotyczące zwolnień; tu dziwnie się uelastyczyły. Również w dziedzinie zarządzania jest sporo nowych rzeczy. Mody piekielnie szybko się zmieniają. Przed pięciu laty wszyscy szaleli na punkcie teorii równowagi organizacyjnej; dziś to już prehistoria. Teraz liczy się „zarządzanie okresu przejściowego”, „reaktywność między sektorami”, „tożsamość korporacyjna”, rozwój „sieci interpersonalnej”, „benchmarking”... Ale przede wszystkim mówi się o „wartościach” przedsiębiorstwa. Sama praca już nie wystarczy, należy się „przyłączyć”. Kiedyś trzeba było zgadzać się z firmą, teraz trzeba się z nią zintegrować. Być jednością. O nic więcej nie proszę: niech mnie zatrudnią i chętnie się zintegruję.

Nicole posortowała dokumenty i zrobiła ich selekcję, ja przygotowałem fiszki i od rana przepytuje mnie z materiału. Wkuwamy. Chodzę w tę i nazad po gabinecie, staram się skoncentrować. Tak długo wymyślam dobre sposoby na zapamiętywanie, że w końcu wszystkie mi się mieszają.

Nicole zaparzyła herbatę i wraca na kanapę, zewsząd otoczona papierami. Jest w szlafroku. Czasami jej się to zdarza, zwłaszcza zimą, kiedy nie ma żadnych planów na dany dzień. W starym, wysłużonym T-shircie, w grubych wełnianych skarpetach nie do pary, pachnie snem i herbatą, jest ciepła jak świeży rogalik i piękna jak poranek. Uwielbiam tę abnegację. Gdybym nie był teraz tak spięty, rzuciłbym się na nią. Zważywszy jednak na moje obecne dokonania w materii seksu, wolę wziąć na wstrzymanie.

– Nie dotykaj – mówi Nicole, widząc, że macam siniak na czole.

Nieczęsto o nim myślę, ale bezlitośnie przypomina mi o sobie, kiedy staję przed lustrem. Dzisiaj nabrał paskudnego odcienia: fioletowy pośrodku, żółty na brzegach. Liczyłem, że mi doda męskości, ale wygląda raczej paskudnie. Lekarz z pogotowia powiedział, że siniak zniknie za jakieś osiem dni. Mahmet ma złamany nos i dziesięć dni zwolnienia.

Ekipy nocna i dzienna zostały szybko przetasowane, by zneutralizować skutki naszej nieobecności. Poprosiłem Romaina do telefonu. Podszedł Charles.

– Zmieniły się godziny pracy – wyjaśnił mi. – Romain siedział w nocy, ja przez dwa, trzy dni będę po południu.

Jakiś kontroler dorabia w nadgodzinach, zastępując Mehmeta, który już powiadomił firmę, że ma nadzieję wrócić jak najszybciej do pracy. Przynajmniej jeden, któremu nie potrzeba szkoleń, by zidentyfikować się z wartościami. Ten, który go chwilowo zastępuje, powiedział Charles’owi, że Dyrekcja nie może tolerować bójek w miejscu pracy. „Do czego to podobne, żeby szefowie ekip lądowali w szpitalu za upomnienie podwładnego?”, miał powiedzieć. Nie wiem, co to konkretnie znaczy, ale dla mnie raczej nic dobrego. Nie mówię o tym Nicole, bo nie chcę jej niepokoić: jeśli dopisze mi szczęście i dostanę posadę proponowaną przez BLC, wówczas obecnym kłopotom stawię czoło ze śmiechem na ustach.

– Jutro położę ci odrobinę podkładu – mówi rozbawiona Nicole, patrząc na moje czoło. – Poważnie! Tylko trochę, zobaczysz.

Zobaczymy. Mówię sobie, że jutro czeka mnie test, a nie rozmowa. A do tego czasu siniak prawie całkiem zniknie. O ile oczywiście dojdę do tego etapu.

– Oczywiście, że dojdiesz – zapewnia mnie Nicole.

Prawdziwa wiara czasami bywa pesząca.

Staram się to ukryć, ale moja ekscytacja sięga zenitu. Jest inna niż wczoraj czy przedwczoraj: im bliżej testu merytorycznego, tym większa ogarnia mnie trema. Gdy w piątek siadaliśmy do powtórki materiału, nie miałem pojęcia, jak bardzo pozostałem w tyle. Uświadomiwszy to sobie, wpadłem w panikę. Przyjście córek, które w innych okolicznościach by mnie zirytowało, bo oznaczało stratę czasu przeznaczzonego na przygotowanie, nagle okazało się nie najgorszą rozrywką.

Od razu po wejściu Gregory, wskazując na moje czoło, rzucił:

– Cóż to, ojczulku? Zawodzą nas już nogi?

„Ojczulek” to taki jego prywatny żart. Generalnie w podobnych przypadkach Mathilde, moja starsza córka, daje mu kuksańca w bok, bo wydaje się jej, że jestem przewrażliwiony. Moim zdaniem lepiej by zrobiła, zatykając mu po prostu ręką gębę. Mówię tak, bo jest od czterech lat jego żoną i od czterech lat mam ochotę zrobić to za nią. Zresztą czego się spodziewać po facecie o imieniu Gregory... W dodatku zaczesuje włosy do tyłu, a to znak, który wiele mówi. Córce nie przeszkadza kopulowanie z takim gogusiem, ale mnie, przykro mi bardzo, mnie to wkurza. Nicole ma rację. Zrobiłem się przewrażliwiony. Mówi, że przez beczyność. Bardzo lubię to słowo, nawet jeśli nie jest pierwszym, jakie mi przychodzi na myśl, kiedy wstaję o czwartej rano, żeby dostać kopniaka w tyłek.

Mathilde jest nauczycielką angielskiego, zwykłą normalną dziewczyną. Ma niezrozumiałą pasję do spraw życia codziennego. Entuzjazmuje się robieniem zakupów, obmyślaniem posiłków, wyszukiwaniem na osiem miesięcy wcześniej miejsca na wakacje, zapamiętywaniem imion dzieci wszystkich koleżanek, planowaniem ciąży. Zdumiewa mnie jej łatwość wypełniania sobie życia. W rozkoszy, jaką sprawia jej zarządzanie prozą życia, jest coś autentycznie fascynującego.

Jej mąż Gregory jest dyrektorem agencji banku specjalizującego się w kredytach konsumpcyjnych. Pożycza ludziom pieniądze, żeby mogli kupić rozmaite rzeczy, odkurzacze, samochody, telewizory. Meble ogrodowe. Na broszurach oprocentowanie wydaje się w porządku, ale klient zwraca trzy, cztery razy więcej, niż pożyczył. A jeśli ma kłopoty ze spłatą, sprawa jest prosta, znowu mu pożyczają, ale wtedy zwraca już trzydzieści razy więcej, niż pożyczył. Zwykła rzecz. Kiedy spędzamy wieczory z zięciem, często on i ja skaczymy sobie do gardła. Gregory reprezentuje niemal wszystko to, czego nienawidzę, co jest prawdziwym dramatem rodzinnym. Nicole podziela moje zdanie, ale jest lepiej ode mnie wychowana, a ponieważ pracuje, nie rozpamiętuje tego godzinami. Dla mnie jeden wieczór z zięciem oznacza trzy dni samotnej furii. Odtwarzam naszą ostatnią rozmowę tak, jak inni odtwarzają mecz.

Gdy Mathilde nas odwiedza, często przychodzi pogadać ze mną w kuchni, kiedy kończę szykowanie posiłku. Najczęściej przy okazji zmywa też wszystko, co zalega w zlewie. To silniejsze od niej, nie może się opanować. Jakby była u siebie w domu. W mieszkaniach kumpelek pewnie bez szukania znajduje odpowiednią szafkę na kieliszki, odpowiednią szufladę na sztuce. Musi posiadać jakiś szósty zmysł. Szczerze ją podziwiam.

Przechodząc z tyłu, całuje mnie za uchem, jak kochanka.

– Och, uderzyłeś się?

Jej współczucie mogłoby mi sprawić przykrość, ale ona wyraża je z delikatnością, która dobrze na mnie działa.

Już mam jej odpowiedzieć, kiedy rozlega się dzwonek u drzwi. To Lucie. Moja druga córka. Lucie ma zbyt małe piersi, nad czym bardzo ubolewa. Wszystkim wrażliwym mężczyznom wydają się wzruszające, ale spróbuj to wytłumaczyć dwudziestopięcioletniej dziewczynie. Jest szczupła, nerwowa, niecierpliwa. Rozum nie zawsze bierze u niej górę, reaguje w sposób bardzo emocjonalny. Szybko wpada w złość, szybko mówi rzeczy, których zaraz żałuje, i ma znacznie więcej starych przyjaciół niż jej siostra, która nigdy się z nikim nie kłóci. Lucie z powodzeniem mogłaby przyłożyć Mehmetowi z główki, Mathilde raczej zaproponowałaby mu podkład.

Dziś Lucie, która prowadzi dość skomplikowane życie, przyszła sama. Całuje matkę i wpada do

kuchni jak domowy huragan. Unosi pokrywkę.

– Dodałeś trochę cytryny?

– Nie wiem. Pieczeń to działka twojej matki.

Lucie pochyla się nad garnkiem. Nie ma cytryny. Proponuje, że zrobi beszamel. Dyplomatycznie odmawiam.

– Wolę sam.

W rzeczywistości wszyscy wiedzą, że jedyne, co potrafię zrobić, to beszamel. Więc żeby mi jeszcze i to odebrać...

– Myślę, że w końcu znaleźliśmy... – oznajmia Mathilde zachłannym tonem.

Lucie ze zdziwieniem unosi brew. Nie ma bladego pojęcia, o czym mowa. Żeby dać jej trochę czasu, udaję zdumionego.

– Naprawdę!!!?...

Lucie robi zasmuconą minę, ale w duchu świetnie się bawi.

Nasze córki są prawdziwą krzyżówką swoich rodziców. Lucie fizycznie jest podobna do mnie, ale ma temperament matki, Mathilde odwrotnie. Lucie jest żywa i lubi ryzyko, Mathilde jest pracusiem, który szybko się poddaje. Jest odważna i energiczna i nie oczekuje zbyt wiele od życia. Wystarczy spojrzeć na jej męża. Była dobra w angielskim, dalej nie szukała, została nauczycielką angielskiego. Cały ja. Natomiast Lucie jest bardziej wybredna. Studiowała już historię sztuki, psychologię, literaturę rosyjską i Bóg wie co jeszcze, nie mogła się zdecydować, wszystkim się pasjonowała. Odnosiła sukcesy na studiach, których nie kończyła, zmieniała plany równie często jak narzeczonych. Mathilde skończyła studia, ponieważ je zaczęła, i poślubiła kolegę z maturalnej klasy.

Ku ogólnemu zaskoczeniu, jako że uważało się, iż nie ma zdolności do wykonywania zadań intelektualnych wymagających rygoru i drobiazgowości (lub właśnie z tego powodu), Lucie została adwokatem. Najczęściej broni maltretowane kobiety. Ta dziedzina jest jak branża pogrzebowa albo skarbówka, pracę będzie miała zawsze, choć fortuny szybko nie robi.

– Trzypokojowe mieszkanie w Dziewiętnastce – ciągnie z przejęciem Mathilde. – Blisko stacji Jaureàs. Niedokładnie taka dzielnica, na jaką liczyliśmy, ale cóż... Uważam, że jest bardzo widne. A Gregory ma stamtąd bezpośredni dojazd metrem, to bardzo praktyczne.

– Ile? – pyta Lucie.

– Sześćset osiemdziesiąt tysięcy.

– No, no, a jednak...

Dowiaduję się, że mają tylko pięćdziesiąt pięć tysięcy euro własnego wkładu i nawet przy znajomościach Gregory'ego w branży bankowej trudno im będzie uzyskać kredyt.

I takie właśnie rzeczy mnie boją. Wcześniej byłem „tata, który zawsze pomoże”. Chętnie się do mnie zwracały, robiłem oziębłą minę, wzdychałem ciężko jak niewolnik, pożyczałem sumy, których nigdy mi nie oddawały, i wszyscy wiedzieli, że jestem szczęśliwy. Teraz Nicole i ja zredukowaliśmy wydatki na życie do minimum, co widać we wszystkim: w tym, co posiadamy, w tym, w co się ubieramy, w tym, co jemy. Mieliśmy dwa samochody, bo wydawało nam się, że tak jest praktyczniej, ale przede wszystkim dlatego, że się nad tym nie zastanawialiśmy. Z biegiem lat, w miarę awansów i idących w parze z nimi podwyżek, nasz poziom życia podnosił się. Nicole została zastępcą dyrektora ośrodka dokumentacji, ja dyrektorem personalnym grupy Bercaud. Z ufnością spoglądaliśmy w przyszłość, w nadchodzące lata, po spłacie kredytu na mieszkanie. Na przykład, kiedy nasze córki opuściły dom, Nicole zapragnęła odnowić mieszkanie: zachować tylko jeden pokój gościnny, rozbić ścianę w salonie i powiększyć go o sąsiednią sypialnię, przenieść pion wodociągowy tak, żeby kran w kuchni znalazł się pod oknem itp. Więc odłożyliśmy na to pieniądze. Plan był prosty. Kończymy spłacać kredyt, remont robimy za gotówkę i jedziemy na wakacje. Byliśmy do tego stopnia ufni, że działaliśmy szybciej, niż zakładał nasz plan. Zostało nam jeszcze kilka lat spłacania kredytu, ale mieliśmy pieniądze, więc postanowiliśmy ruszyć z

remontem od zaraz. Zaczynając od kuchni. Bardzo łatwo odtworzyć tę datę: robotnicy zaczęli rozbijać ściany dwudziestego maja, a dwudziestego czwartego maja mnie zwolniono. Natychmiast wstrzymaliśmy prace. A potem strzałka obróciła się grotem w dół, i tak już zostało. Ponieważ w kuchni wszystko zostało zdemontowane, od rur po kafelki posadzki, musiałem wziąć się do majsterkowania sam. Ustawiłem zlew na dwóch podpórkach z gipsowych płytek, zamontowałem z powrotem rury. A ponieważ była to prowizorka, kupiliśmy trzy szafki kuchenne, które powiesiłem na ścianie. Wybraliśmy najtańsze, więc i najbrzydsze. Więc i najmniej solidne. Zawsze boję się wstawiać do nich zbyt dużo naczyń. Położyłem też na betonowej podłodze linoleum. Co roku je zmieniamy. Zwykle robię wtedy Nicole niespodziankę. Zamaszystym gestem otwieram drzwi, mówiąc: „Odnowiliśmy kuchnię”. Zwykle odpowiada mi formułką w rodzaju: „Otwieramy szampana!”. Oboje wiemy, że to niezbyt śmieszne, ale staramy się, jak możemy.

Kiedy zasiłek dla bezrobotnych przestał wystarczać na raty, sięgnęliśmy do oszczędności przeznaczonych na remont. Kiedy i one się wyczerpały, okazało się, że musimy jeszcze cztery lata spłacać kredyt, nim mieszkanie stanie się naszą własnością, i Nicole powiedziała, że trzeba będzie je sprzedać i kupić mniejsze, za które zapłacimy gotówką. Nie zgodziłem się. Przez dwadzieścia lat pracowałem, żeby mieć to mieszkanie, i nie potrafię pogodzić się z myślą o jego sprzedaży. Czas płynie, a Nicole czuje się coraz mniej upoważniona do podjęcia tego tematu. Na razie. Ale w końcu okaże się, że ma rację. Zwłaszcza jeśli sprawa z hurtownią farmaceutyczną źle się skończy. Nie wiem, czy uda nam się zachować przed córkami twarz. Teraz radzą sobie same. Nie mogą mi już nawet ofiarować tego prezentu, jakim byłaby prośba o pieniądze.

Beszamel się udał. Jest taki jak zawsze. I my wszyscy wokół stołu jesteśmy też tacy jak zawsze. Kiedyś lubiłem te nasze łatwe do przewidzenia rozmowy, nasze stałe żarty, ale od roku czy dwóch z trudem to wytrzymuję. Zrobiłem się niecierpliwy, przyznaję. A dzisiejszego wieczoru aż się palę, żeby ubiegając fakty, powiedzieć dziewczynom: zostałem zaproszony na rozmowę w sprawie pracy, która idealnie mi pasuje, od czterech lat nie trafiła mi się podobna szansa, za dwa dni zwycięsko przejdę testy, a potem będzie rozmowa, pokażę wszystkim, co potrafię, i za miesiąc, drogie dzieci, ojciec, o którego tak się martwicie, będzie już tylko wspomnieniem. Zamiast tego milczę. Nicole uśmiecha się do mnie. Jest przesadna. I szczęśliwa. W jej spojrzeniu jest tyle ufności.

– No więc ten chłopak – mówi Gregory – zapisał się na prawo. A wtedy pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było... wiecie co?

Nikt nie wie. Oprócz Mathilde, która nie chce zepsuć mężowi efektu. Ja sam słucham tylko jednym uchem, bo wiem, że mój zięć jest idiotą.

– Pozwał swój wydział do sądu! – obwieszcza Gregory z podziwem. – Porównał wysokość wpisowego na ten rok i ubiegły i uznał, że podwyżka była nielegalna, bo nie usprawiedliwiało jej „znaczące zwiększenie świadczeń dla studentów”.

I, dla podkreślenia smakowitości anegdoty, wybucha gromkim śmiechem.

Mój zięć – melanz prawicowych przekonań i lewicowych złudzeń – uwielbia takie historie. Zna mnóstwo opowieści, w których pacjenci wygrywają procesy ze swoimi psychoanalitykami, bracia bliźniacy skaczą sobie przed sądem do gardeł, a matki wielodzietnych rodzin pozywają własne potomstwo. W innych wariantach klient zwycięsko procesuje się ze swoim minimarketem albo producent samochodów musi nabywcy auta zwrócić koszty mandatu. A już niemal wpada w ekstazę, kiedy obywatel wygrywa z administracją. Tu Koleje Państwowe zostają ukarane za nieczynny kasownik, tam urząd podatkowy musi zapłacić za znaczek na zeznaniu podatkowym, gdzie indziej Ministerstwo Edukacji przegrywa z rodzicem, który porównawszy stopnie wszystkich uczniów, uznał, że jego syn padł ofiarą karygodnej dyskryminacji przy ocenie wypracowania o Wolterze. Im bardziej błahy powód, tym większa uciecha Gregory’ego. Uważa on, że prawo umożliwia odtwarzanie w nieskończoność sprawiedliwej walki między Dawidem i Goliatem. Ta walka, jego zdaniem, jest czymś wspaniałym. Jest święcie przekonany, że prawo to zbrojne ramię demokracji. Poznawszy go już trochę, człowiek jest szczerze

zadowolony, że facet pracuje w banku. Ktoś taki, będąc urzędnikiem, wyrządziłby niewyobrażalne szkody.

– Ja uważam, że to niepokojące – stwierdza Lucie.

Gregory, ani trochę nieskrępowany swoim wykładem na temat prawa w obecności Lucie, będącej adwokatem, nalewa sobie kolejny kieliszek Saint Émilion, które przyniósł, wyraźnie zadowolony, że udało mu się zapoczątkować pasjonującą rozmowę, w której dowiedzie niezbitą wyższości swojej teorii.

– Przeciwnie – mówi stanowczym tonem. – Krzepiąca jest świadomość, że nawet najsłabszy może wygrać!

– Czy to znaczy, że możesz mnie pozwać, ponieważ twoim zdaniem pieczeń jest nie dość słona?

Oczy wszystkich skierowały się w moją stronę. Możliwe, ton mojego głosu ich ostrzegł. Mathilde w milczeniu patrzy na mnie błagalnym wzrokiem. Lucie się zaczyna się cieszyć.

– Jest nie dość słona? – pyta Nicole.

– To przykład.

– Mógłbyś wybrać inny.

– W sprawie pieczeni to mogłoby być trudne – przyznaje Gregory. – Ale liczy się zasada.

Mimo szczerego niepokoję Nicole postanawiam nie ustąpić na krok.

– Właśnie ta zasada mi się nie podoba. Uważam, że jest idiotyczna.

– Alain... – próbuje Nicole, nakrywając dłonią moją dłoń.

– Co, „Alain”?

Jestem zdenerwowany, ale nikt nie rozumie dlaczego aż tak.

– Mylisz się – odpowiada Gregory, który nie należy do osób skłonnych odpuścić temat, zwłaszcza kiedy czują, że przewaga jest po ich stronie. – Ta historia pokazuje, że każdy (kładzie nacisk na „każdy”, tak by do wszystkich w pełni dotarła doniosłość konkluzji), absolutnie każdy może wygrać, jeśli tylko wykaże wystarczająco dużo energii.

– Wygrać co? – pyta Lucie, żeby ostudzić nastroje.

– No... – jąka się Gregory, który nie oczekiwał tak podstępного ataku – no, wygrać...

– Tyle energii, ile trzeba na zapłacenie za znaczek albo wpisowego w wysokości trzydziestu euro – też mi stawka. – Taką energię można by spożytkować na szczytniejsze sprawy, nie uważasz?

Tak mniej więcej wygląda schemat. Teraz Mathilde spieszy z pomocą swojemu kretyńskiemu mężowi, Lucie nie daje za wygraną i kilka minut później siostry biorą się za łby. Na koniec Nicole wali pięścią w stół, ale zawsze robi to trochę za późno. A kiedy znów zostajemy sami, dąsa się, a potem z kolei ona wybucha i po dzieciach zaczynają się kłócić rodzice.

– Jesteś naprawdę wkurzający – mówi Nicole.

W samej bieliźnie trzaska drzwiami szafy w sypialni i znika w łazience. Widzę wprawdzie jej pośladki tylko przez majtki, ale i tak wyglądają świetnie.

– To prawda, byłem w formie.

Ale moje skecze nie śmieszają jej już od dobrych dwudziestu lat.

Kiedy przychodzi do sypialni, ja już z powrotem tkwię z nosem w notatkach. Nicole wraca do rzeczywistości. Wie, że to cudowne ogłoszenie jest dla nas życiową szansą. Dla mnie owa szansa to właściwie jedyne, co mi pozostało. Widząc mnie w łóżku ślęczącego nad fiskami, uspokaja się. Znowu się uśmiecha.

– Gotowy na tę wielką chwilę?

Kładzie się obok mnie.

Zbiera delikatnie papiery, powoli je ze mnie zdejmując, jakby ściągała okulary dziecku, które przed chwilą usnęło. Potem wsuwa dłoń pod kołdrę i natychmiast mnie spotyka.

Gotowy na tę wielką chwilę.

Od: Bertrand Lacoste (b.lacoste@BLC-Consulting.fr)
Do: Alexandre Dorfmann (a.dorfmann@Exxyl-Europe.com)
Temat: Nabór i rekrutacja

Witam, Panie Prezesie!

Niniejszym rekapituluję główne punkty naszej niedawnej rozmowy.

Pańska grupa zmuszona jest w ciągu najbliższego roku zamknąć placówkę w Sarqueville i w związku z tym przeprowadzić zakrojony na szeroką skalę plan zwolnień.

Chce Pan wybrać spośród swojej kadry kierowniczej menedżera, któremu zostanie powierzona ta trudna misja.

W tym celu poprosił mnie Pan o zastanowienie się nad formułą oceny, tak by selekcję przeprowadzono w sposób jak najbardziej rzetelny, niezawodny, krótko mówiąc, najbardziej kompetentny.

Zaakceptował Pan mój projekt symulacji wzięcia zakładników, podczas którego podlegających ocenie, nieświadomych niczego, menedżerów zaskoczą uzbrojeni napastnicy.

Sprawdzian, któremu zostaną poddani, pozwoli ocenić ich zimną krew, ich zachowanie w sytuacji wzmożonego stresu oraz ich wierność wartościom firmy, zwłaszcza gdy porywacze zażądają, żeby się ich wyparli.

W porozumieniu z Panem połączymy tę operację z rekrutacją zastępcy dyrektora personalnego: grę poprowadzą kandydaci na to stanowisko, co umożliwi ocenę ich przydatności zawodowej.

Połączenie operacji przedstawia wyłącznie korzyści: możliwa będzie ocena Pańskich menedżerów, a równocześnie kandydaci na stanowisko zastępcy dyrektora personalnego będą mogli wykazać swoje umiejętności oceniania innych.

Ja podejmuję się rekrutacji pracowników oraz materialnego przygotowania operacji. Jest to, jak zapewne Pan się domyśla, dość skomplikowane: potrzebna będzie broń, aktorzy, miejsce, solidny scenariusz, sprzęt, stanowiska umożliwiające obserwację zachowań itp.

Skądinąd trzeba będzie znaleźć jakiś bezdyskusyjny pretekst do zwołania ich wszystkich. Tutaj, Panie Prezesie, konieczna będzie Pańska wiedza. Oraz współdziałanie. O każdej porze.

Proponuję, żeby operację przeprowadzić w czwartek, dwudziestego pierwszego maja (należy wybrać dzień, kiedy biura są zamknięte, i mam wrażenie, że odpowiednie byłoby święto Bożego Ciała, jeśli się Pan zgodzi).

Niebawem przedstawię szczegóły.

Pozdrawiam,

Bertrand Lacoste

koniec darmowego fragmentu
zapraszamy do zakupu pełnej wersji

MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#) , Bydgoszcz

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).